

Katarzyna Grabias-Banaszewska
Uniwersytet Zielonogórski

Michał Szczęch
Zielona Góra

NA ZACHÓD

Przez Mirocin sunie nowe życie. Starzy i młodzi, zdrowi i chorzy, zmęczeni ludzie zajmują kolejne podwórza. A one, dwie siostry, stąpają ostrożnie, jakby spodziewały się, że zaraz ktoś wyjdzie na ganek i zapyta *warum?* Ale podwórza są puste. Nie ma tu żywej duszy, ani psa, kota, krowy, konia. W powietrzu czuć tylko trawę z niewykoszonych łąk i karłowatym zbożem. Jeszcze wczoraj inne tu były zapachy. Rano z piekarni pachniało świeżym chlebem. W południe obiadem z każdego obejścia. Po południu – konfiturami. Niedaleko stała przecież fabryka przetwórstwa owoców. Stały też dwa młyny wodne, owczarnia, cegielnia, wiatrak, gorzelnia. Gospodarze codziennie zaganiaли krowy na wypas. Tak było w czasach dworu, za von Dyhernów, Schulzów i Klammtów. Wieś kwitła. A dziś żadnego w niej ruchu, puste obejścia i pola, łąki bez krów. Jest rok 1945, tuż po wojnie. Otwarta brama, podwórze, a one stąpają ostrożnie i nie mogą uwierzyć, że ten dom z czerwonej cegły, bogate gospodarstwo, ta łąka, pole, że wszystko należy do nich.

Franciszka niepewnie zagląda przez uchylone drzwi, wysokie i ciężkie – solidna, niemiecka konstrukcja. Widzi sporą sień wyłożoną piękną posadzką w geometryczne wzory. Podłoga jest świeżo zmieciona i zmyta. Tuż obok wejścia do kuchni stoi szafka toaletowa z lustrem. W lekko wysuniętej szufladzie leży spory żeliwny klucz, jakby właściciele celowo chcieli powierzyć go nowym mieszkańcom, wraz z nim powierzając dobytek. A może nie zdążyli nic zabrać, gdy wyjeżdżali w popłochu?

W lustrze Franciszka widzi blade twarze i wycieńczone ciała, swoje i Weroniki. Od trzech miesięcy nie dojadły. Od pięciu tygodni wegetowały w wagonach i wozach wiozących je z Kaczanówki. Nogi im drętwieją po kilometrach marszu. Ręce opadają bezwładnie od dźwigania bagażu – niewielkiego, podręcznego dobytku, osobistych drobiazgów, dokumentów, fotografii i polskiej flagi. Tej samej, którą wyjęły, gdy przekroczyły granicę. Wybiegły wtedy z zatrzymanego wagonu. Wszyscy płakali, całowali ziemię, wymachiwali flagami zrobionymi z czegośkolwiek, byle miało biało-czerwony kolor. Ktoś wyjął grzebień, owinął bibułą i zagrał „Boże coś Polskę”. A one śpiewały z nadzieją.

Równie ostrożnie, jak przez drzwi wejściowe, wchodzi teraz do kuchni, solidnej, z drewnianą podłogą i wielkim błękitnym piecem. Siadają przy stole. Patrzają na porce-



Fot. Katarzyna Grabias-Banaszewska

lanowe naczynia z napisami *salz, mehl, zucker*. Niemieckie przedmioty, wypełnione po brzegi, wydają się im bliskie. Ich ostatnim domem była przecież służbówka u Bauera, więc dobrze znają te słowa. Wiedzą też, że portret na ścianie to wizerunek Wilhelma II. A niemiecka książka na stole to Biblia. Z szacunkiem chowają ją do szuflady. Spędzi długie lata przy polskim modlitewniku. Ostrożnie zdejmują Wilhelma ze ściany. Z dna walizki wydobywają śnieżnobiały, złożony w perfekcyjną kostkę obrus. Wysuwają z niego oleodruk z wizerunkiem św. Salomei. Pięknie utrzymany, na szczęście nie pogniótł się w długiej podróży. Wyjmują Wilhelma z ramy, otoczonego kwiatami. Do kwiatów przykładają owalny obrazek z Salomeą. Idealnie pasuje. Zupełnie zaśłania Wilhelma, zostawiając na wierzchu dzikie

róże, dzwonki, rumianki. Oprawiają nową polsko-niemiecką kompozycję w dawne szkło. Salomea i Wilhelm nie rozstaną się przez siedemdziesiąt lat.

Franciszka spogląda w lustro. Widzi odbicie Weroniki. Ich spojrzenia spotkają się. Kąciki ust delikatnie drgają, jakby w próbie uśmiechu, jedynej oznace radości, na jaką mają siły i odwagę. Nie potrafią się cieszyć. Jeszcze nie. Ostatnie lata przyniosły przecież tak wiele krzywd, niepewności. A dziś to między innymi one, wciąż pełne obaw, muszą od nowa zbudować życie na polskim Dzikim Zachodzie.

*

Tak mogła wyglądać pierwsza wizyta Franciszki i Weroniki Ćwiertniewicz w nowym domu. Mogła – bo nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Obie kobiety nie żyją, nie pozostawiły potomstwa, nie znamy ich dalszej rodziny. Sąsiedzi pamiętają je jako dobroczynne i pracowite. Gdy najmowały ludzi do pomocy w polu, to zawsze nosiły im obiad. Wspierały sąsiadów w potrzebie, choć same miały niewiele. A dziś nikt nie pamięta, jak to z siostrami było w 1945 roku.

Niewielu pamięta czas, gdy przesiedleńcy ze Wschodu zapuszczali tu polskie korzenie. Gdy na Dzikim Zachodzie, w trudzie, budowali życie od nowa, kultywowali trady-



Fot. Katarzyna Grabias-Banaszewska

cje przywiezione z Buga, pielęgnowali miłość do ziemi. Jeszcze trzydzieści lat temu wypasali tu bydło, sierpem wyżynali miedzę. Z hektarów pastwisk i pól nie mało było mleka i chleba. Dziś młodzi nie pamiętają. Coś się wykruszało. Synowie wytłumaczyli ojcom, że nie mają smykałki, że to się nie opłaca. – Bez tej harówki wolimy żyć – mówili. Z łąk znikać zaczęły krowy. Pola stały odłogiem. I tylko garstka starych mieszkańców sięga dziś wspomnieniami do roku 1945 i głębiej. Opowiadają o życiu na Wschodzie. Wciąż tęsknią. Za tym, co ich cieszyło. Wydaje się oczywiste, że mit kresów jest bliski wszystkim repatriantom. I jest tak w istocie, jednak każdy wyznaje go nieco inaczej.

Krystyna uznaje swój Skałat za miasto szczęśliwości. Kilkakrotnie udało się jej tam powrócić. We wspomnieniach pisze o czarnej, tłustej ziemi, wartej wysiłku, rodzącej zboże w kłosa. „Pamiętam swoje ukochane miasto Skałat w woj. Tarnopolskim. Urodziłam się w nim w 1935 roku i mieszkałam aż do wyjazdu na Ziemię Odzyskaną, do czego byliśmy zmuszeni. Było bardzo ładne, moje miasto Skałat, pięknie położone. Miało dużo zieleni i stawów, miało bardzo urodzajne i bogate pola. Wkoło było dużo zielonych pól posianych zbożem oraz dużo ogrodów i pięknych sadów. Kraj borem i miodem płynący”.

Wanda nigdy nie wróciła do swoich Złotników. Opowiadała o nich jednak tak malowniczo, że można odnieść wrażenie, iż obcuje się z ciągle żywym tygłem kultury polskiej, ukraińskiej, żydowskiej. Emilia wspomina ziemię lat dziecięcych, jednak wracać by



Fot. Katarzyna Grabias-Banaszewska

do niej nie chciała. W '45 miała dwadzieścia lat. Może jej wspomnienia są bardziej świadome niż pani Krystyny, wtedy dziesięcioletniej dziewczynki. Władysław na pewno był zbyt mały, by zapamiętać swoje miejsce urodzenia. Wspomina jednak matkę. Do końca życia miała nadzieję, że coś się w polityce zmieni i wróćą na Wschód, do domu. „Jest nadzieja, jest nadzieja, że my tam wrócimy” – mawiała.

Wszystkich rozmówców pytamy o siostry Ćwiertniewicz. Samotne kobiety, które też kiedyś tu żyły. Pytamy, bo dom pozostawiony po nich stoi w zupełnej ruinie. Szabrownicy ukradli wszystko, co wartościowe. Zniknęły metalowe części pieców, kable z instalacji elektrycznej, podłogowe deski, okucia mebli i drzwi. Zostały stare papierzyska, niemiecka Biblia, zdjęcia rentgenowskie, rachunki za prąd.

Nikomiu już niepotrzebny krzyż, z rodzinnego domu zza Buga, narodowa flaga, którą siostry witały nową ojczyznę, Salomea i ukryty pod nią Wilhelm. Zostały rzeczy osobiste – grzebień, spinka do włosów. I klucz do solidnych, ciężkich drzwi. Leży w tym samym miejscu, w jakim zastały go w 45 roku dwie samotne kobiety. Takich kluczy jest we wsi coraz więcej. Nowych właścicieli nie widać. A przez Mirocin znowu sunie życie. Młodzi jadą na Zachód.